# WIONOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY



OKAZUJE SIĘ
Z „NOWINAMI"
RZESZOWSKIMI
Nr 10 (391)
Rok V
10 V 1965 r.


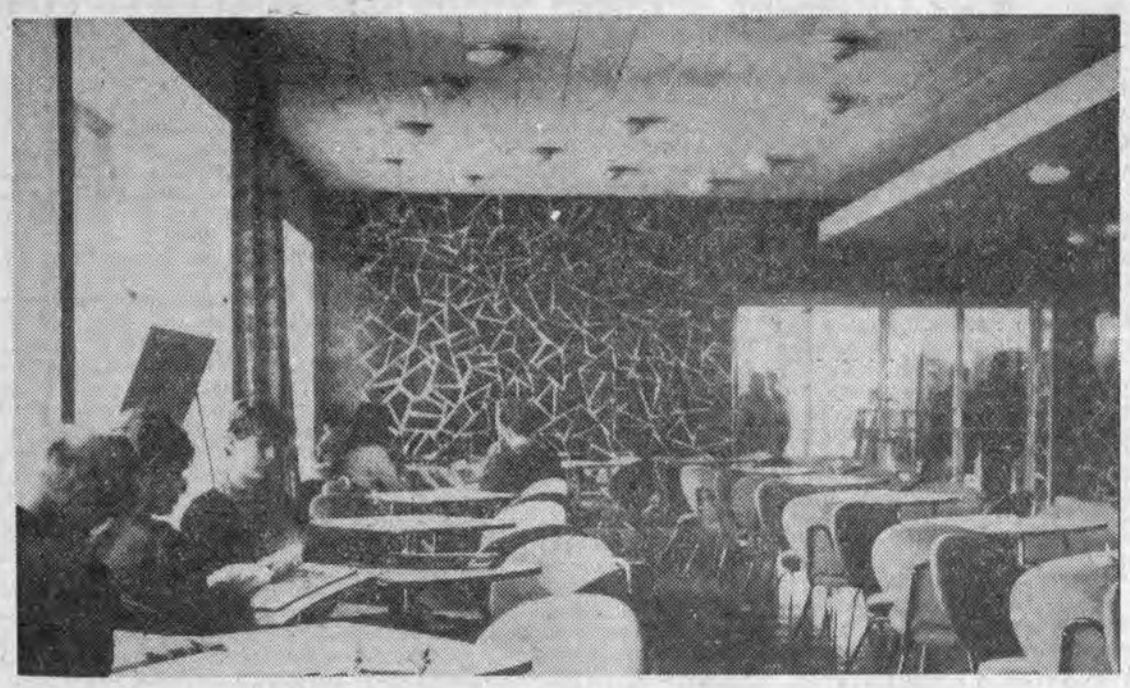

## W przemyskim Klubie Międzynarodowej Książki i Prasy

Z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy przedstawiamy dziś naszym Czytelnikom nową, pracującą dopiero 6 miesięcy placówkę kulturalno - oświatową. Jest to Klub Międzynarodowej Książki i Prasy w Przemyślu, jeden z 44 tego typu klubów działających w kraju.

Przemyski klub istniejący od połowy grudnia 1964 r. prowadzi działalność dość wielostronną. Można tutaj zaopatrzyć się w książkowe wydawnictwa polskie, rosyjskie, niemieckie, angielskie i francuskie, można kupić zagraniczne i krajowe czasopisma oraz dzienniki. Niezależnie od działu sprzedaży klub prowadzi czytelnię, w której odwiedzający mają możność wyboru lektury spośród 200 znajdujących się w niej czasopism.

Czytelnia jest również miejscem imprez organizowanych tu przez kierownika klubu Jerzego Kryłowskiego. Odbywają się w niej spotkania z ludźmi kultury i sztuki. Klub organizuje także wystawy plastyki (aktualnie wystawa prac naszego redakcyjnego kolegi — Jerzego Siennkiewicza), fotografiki i inne. Ogółem odbyło się tu 28 wystaw i 17 spotkań.

Bardzo dobre wyposażenie klubu, ładnie urządzone wnętrze, niezwykle uprzejma i sprawna obsługa sprawiają, że zdobył on sobie u przemyślan i coraz liczniej ściągających tutaj klientów z całego województwa — duże uznanie.

Gratulując zatem Przemyślowi pięknej i pożytecznej placówki apelujemy przy okazji do przyszłych ojców wojewódzkiej stolicy — Rzeszowa, by możliwie szybko ruszyli w ślady swoich pobratymców znad Sanu i przyśpieszyli uruchomienie tego typu klubu w Rzeszowie.

*BOGDAN LOEBL*

## Wiersz dla mojej matki

**Wiem że często nie śpisz**
**martwisz się pochylona nad moim losem**
**patrzysz na mrugające do ciebie gwiazdy**
**które mnie rozumu pozbawiły**
**a potem wstajesz o świcie srebrniejsza**
**nowym białym włosem**
**by znów do zmierzchu być tragarzem**
**trosk ponad twe siły**

**lecz choć mi tyle razy powtarzałaś**
**ucz się ucz**
**zamiast pilnować książki**
**włóczyłem się z Mistrzem Gałczyńskim po ulicach**
**nieprawdopodobnych**
**bo mi się uroiło**
**że można na którejś znaleźć klucz**
**do wzruszeń ludzkich**
**chociażby tych bardzo drobnych**

**więc skoro gwiazdy wzejdą**
**wykradam się z domu tak cicho jakbym szedł coś skraść**
**bo mi wstyd**
**żem bez zawodu dotąd**
**i bez szczytnych celów**
**że umiem tylko z księżyców pasjanse kłaść**
**i w serce czasem brzdąknąć**
**fałszywiej niż wiatr**
**o łodygę chmielu.**

*JERZY WALAWSKI*

## Wietnam 1965

**Napalmem spalili palmę**
**kora zwęglona kora.**
**Użyźni drzewo umarłe**
**pola uprawne pola.**

**W powietrzu krąży dym i krew**
**nie palmy płoną nie palmy.**
**Zwija się skóra żywych drzew**
**ludzi w płomieniach napalmu.**

**Znów młode palmy wyrosną**
**bujne dokoła bujne.**
**Trawa okryje zgliszcza**
**trumną zieloną trumną.**

**W powietrzu krąży dym i krew**
**i zbir w helikopterze zbir.**
**Nad małą wsią nad kępą drzew.**

JAN GRYGIEL

# JAK I CO CZYTAĆ?

Przy okazji rozważań nad masowym czytelnictwem w kraju często mówi się o konkursach czytelniczych, które od lat już nierozerwalnie łączą się z upowszechnieniem książki. Konkursy istnieją od dawna, lecz rozrastają się tak żywiołowo, ich liczba tak wciąż się zwiększa, że coraz trudniej się w ich gąszczu zorientować, zdać sobie sprawę z ich różnorodności i pożytku. Wydaje mi się, że Dni Oświaty, Książki i Prasy to okres sprzyjający próbie bilansu i wysnucia pewnych wniosków z zakresu form czytelnictwa.

W okresie ostatnich dwóch lat oprócz tradycyjnie już istniejących konkursów, jak „Złoty Kłos", przyszła fala nowych, związanych z 20-leciem Polski Ludowej. Ponieważ organizatorami ich mogą być właściwie wszystkie organizacje społeczne i kulturalno-oświatowe, radio, prasa, organizacje młodzieżowe i wreszcie biblioteki powszechne — niełatwo wszystkie zliczyć i ocenić. Istnieją konkursy czytelnicze ogólnopolskie, wojewódzkie i powiatowe. Każda biblioteka może we własnym zakresie ogłosić konkurs — może to również uczynić każda szkoła, a nawet każda klasa, i na ogół tak czynią.

Spróbujmy wyłowić z tej fali najważniejsze: „Dziennik Ludowy" wspólnie z Ministerstwem Kultury i Sztuki od kilku lat organizuje masowy konkurs czytelniczy przeznaczony przede wszystkim dla mieszkańców wsi i małych miasteczek, pod hasłem „Złoty Kłos" dla twórcy — „Srebrny" dla czytelników. Jest to jak gdyby plebiscyt czytelniczy na najlepszą książkę z zakresu literatury współczesnej z zestawu podanego przez organizatorów. Nagrodę otrzymuje nie tylko pisarz, którego książka uzyskała największą liczbę głosów, lecz również biblioteka powiatowa o najwiekszej ilości uczestników konkursu.

Inny konkurs ogłosił „Głos Pracy" przy poparciu Centralnej Rady Związków Zawodowych i Ministerstwa Kultury i Sztuki. Jego hasło brzmi — „Bliżej książki współczesnej". Uczestnicy dokonują tu wyboru dwóch najbardziej wartościowych książek polskich autorów współczesnych, które ukazały się w roku 1964.

Centralna Rada Związków Zawodowych ogłosiła w roku ubiegłym współzawodnictwo bibliotek zakładowych dla uczczenia 20-lecia PRL i IV Zjazdu Partii. Jednym z elementów tego współzawodnictwa był konkurs czytelniczy pod nazwą „Czy znasz polską literaturę współczesna". Ale ten konkurs mimo odgórnie zaplanowanej problematyki miał charakter wewnętrzny — zaczynał się i kończył w obrębie bibliotek zakładowych.

Należy wymienić jeszcze konkurs ogłoszony rok temu przez Ministerstwo Oświaty w związku z Tysiącleciem Państwa Polskiego, olimpiady czytelnicze organizowane przez organizacje młodzieżowe ZMS i ZMW, oraz konkursy czytelnicze o zasięgu wojewódzkim ogłoszone przez Wojewódzka Biblioteke Publiczną, jak np. „Czy znasz literaturę 20-lecia PRL", „Czy znasz twórczość Żeromskiego", „Ziemie Zachodnie w literaturze pięknej" oraz konkurs na znajomość literatury radzieckiej. Dochodzą do tego, jak już wspomniałem wyżej, imprezy czytelnicze o charakterze plebiscytów lub konkursów organizowane dla potrzeb lokalnych w powiatach, gromadach lub zakładach pracy.

Ten przydługi rejestr budzi pewien niepokój. Czy nie za dużo? Czy istotnie wszystkie wymienione konkursy spełniają swoją rolę, tzn. budzą prawdziwe zamiłowania czytelnicze i zbliżają literaturę współczesną do odbiorców?

Rozmawiałem na ten temat z doświadczonymi bibliotekarzami, śledziłem przebieg niektórych konkursów, przeglądałem kupony uczestników. Doszedłem do przekonania, że dość często organizatorzy gubią z oczu właściwy cel tych imprez. Np. w „Złotym Kłosie", który ma dobre tradycje i jest konkursem najbardziej masowym, a przy tym wymagającym od uczestników rzeczywistego zaangażowania uczuciowego i intelektualnego w lekturę wybranych książek, zaczynają pojawiać się elementy niezdrowego wyścigu za ilością wysłanych kuponów. Poszczególne biblioteki powiatowe w walce o nagrodę rywalizują nie zawsze uczciwie, dążąc do uzyskania jak największej ilości uczestników — wysyłają po kilka tysięcy kuponów. Ten wyścig, ta pogoń za ilością prowadzi do formalizmu w pracy z czytelnikiem, do powierzchowności i blagi, a w skrajnych przypadkach do fabrykowania kuponów w bibliotece.

Kierownik Powiatowej Biblioteki w Gorlicach mgr Stanisław Gabriel uważa konkurs „Złotego Kłosa" za bardzo dobre ramy dla stworzenia czytelnictwa zorganizowanego i świadomego. Wspomaga tu wysiłki bibliotekarza szeroka popularyzacja książek przez prasę i radio. Konkurs ten pozwala stwarzać szkołę czytelnictwa, wpływa na upowszechnienie pewnych wartościowych, a mało popularnych książek.

Ale potrzebny jest dla osiągnięcia tych celów umiar i spokój — należy zaostrzać kryteria przy ocenianiu kuponów konkursowych, a unikać wytwarzania klimatu, w którym liczy się tylko ilość uczestników. Sądzę, że 911 kuponów konkursowych, które przesłała do Biblioteki Wojewódzkiej Biblioteka Powiatowa w Gorlicach, kuponów z pełnymi uzasadnieniami wyboru książek świadczy o rozważnej i ambitnej pracy bibliotekarzy tego powiatu. Złożyły się bowiem na ten wynik liczne dyskusje zespołowe, praca w zespołach czytelniczych, prelekcje o pisarzach i książkach, spotkania autorskie, czy recytacje wierszy z konkursowych tomów poezji. Jest to praca olbrzymia i dlatego im mniej konkursów czytelniczych, tym porządniej i rozważniej można ją przeprowadzić.

W konkursie „Złotego Kłosa" zastrzeżenie budzi zestaw książek proponowanych masowemu czytelnikowi. Czy istotnie doskonała powieść Konwickiego „Sennik współczesny" winna być upowszechniana na wsi? Lub „Czas generała" Gerharda, czy „Opowieści biblijne" Kosidowskiego? To jest lektura dla wytrawnych czytelników i należy sądzić, że te książki zawsze trafią do swojego kręgu odbiorców, a innych, nie przygotowanych, mogą do literatury współczesnej zrazić.

I wreszcie jeszcze jedna pretensja do organizatorów „Złotego Kłosa". Pośpiech przy zamykaniu konkursu nie pozwala bibliotekarzom zapoznać się dokładnie z wypowiedziami na kuponach uczestników — przeanalizować ich wypowiedzi i uzasadnień. A przecież mogłoby to stanowić podstawowy sondaż opinii czytelników o literaturze współczesnej tak cenny dla dalszej pracy szeregowych bibliotekarzy. Czy nie powinno się zostawić im na to trochę czasu?

Mimo tych zastrzeżeń „Złoty Kłos" jest bardzo wartościową imprezą czytelniczą, upowszechniającą dobrą, współczesną, polską książkę i podnoszącą niewysoki jeszcze na ogół poziom masowego czytelnictwa. Pod warunkiem, że w przyszłości rozsądku i umiaru nie wyprze pogoń za cyfrowymi doraźnymi efektami. Świadczyć o tym mogą tegoroczne wyniki w naszym województwie: I miejsce dla „Popiołu i diamentu" Andrzejewskiego, II dla „Pamiątki z Celulozy" Newerly'ego i III dla „Agnieszki córki Kolumba" Macha.

Mniej aprobaty budzi drugi z wymienionych konkursów — „Bliżej książki współczesnej". Zbyt łatwe są warunki uczestnictwa. Wystarczy wymienić dwie książki, które czytelnik uważa za najlepsze i nie trzeba nawet uzasadniać tej opinii. Można więc właściwie kupon konkursowy wysłać bez czytania książek. Zdarzają się takie przypadki w wielu innych konkursach. Np. w jednej ze szkół (czy tylko w jednej?) dzieci napisały wypracowania na konkurs czytelniczy w związku z Tysiącleciem Państwa Polskiego, o którym wspominałem wyżej. Ale nie czytały książek przewidzianych regulaminem konkursu, bo ich nie było w szkolnej bibliotece. W takich konkursach wyraźnie zatraca się właściwy sens działania — pracuje się dla statystyki, dla nagrody, dla odfajkowania lub przypodobania się zwierzchnikom. A na to szkoda czasu i pieniędzy, gdyż jedynym zyskiem takich imprez jest demoralizacja początkującego czytelnika. Zresztą warto zwrócić uwagę na paradoksalne zjawisko żywiołowego rozrastania się masowych konkursów czytelniczych w okresie trudności wydawniczych, gdy nakłady dobrych książek są trudniej dostępne niż cytryny.

Próbuję odpowiedzieć na pytanie postawione we wstępie artykułu. Konkursy czytelnicze tylko częściowo spełniają swoją właściwą rolę i na pewno nie wszystkie. Jest ich w tej chwili za dużo. Należy przeprowadzić gruntowną ocenę przydatności tego legionu konkursów i ocenę form pracy kadry bibliotecznej nad ich przygotowaniem, by zdecydować się na reorganizację tych form czytelnictwa. Ja głosuję za „Złotym Kłosem" i sprężyście zorganizowanymi olimpiadami czytelniczymi ZMW i ZMS oraz za jeszcze jednym centralnym konkursem propagującym literaturę popularnonaukową i naukową. I to chyba wystarczy.

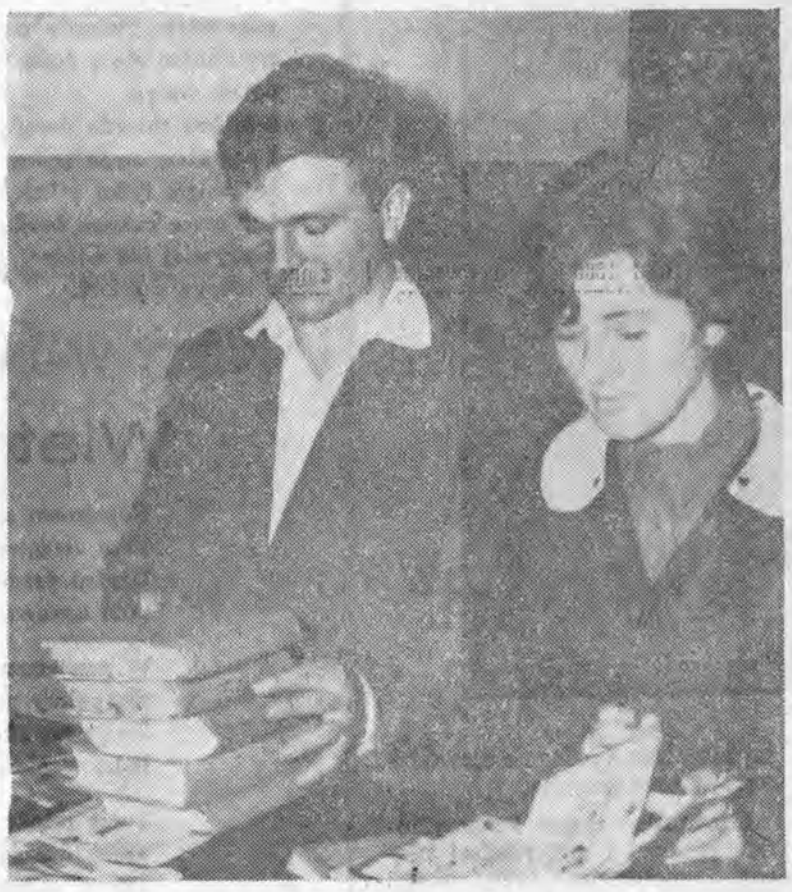

# Polsko-czechosłowacka współpraca kulturalna

Blisko 600 pozycji polskiej literatury pięknej ukazało się w Czechosłowacji w okresie minionych lat dwudziestu. Najczęściej — bo czternaście razy — wydawano tam dzieła Henryka Sienkiewicza i Bolesława Prusa, ze współczesnych zaś pisarzy najwięcej przekładów i wydań miały utwory Jerzego Andrzejewskiego, Stanisława Lema i Leona Kruczkowskiego. Natomiast w Polsce najpopularniejszym pisarzem czeskim jest — jak można sądzić na podstawie ilości wydań — Karol Czapek, z którego utworów ukazało się u nas po wojnie 19 pozycji. 17-krotnie otrzymali czytelnicy polscy książki Juliusza Fuczika, sześciokrotnie wznawiane były „Przygody dobrego wojaka Szwejka" Jarosława Haszka, po pięć wydań miały utwory Jerzego Andrzejewskiego, „Niema barykada" i „Miasteczko na dłoni" Jana Drdy.

Czechosłowaccy miłośnicy muzyki i teatru mieli możność zapoznania się w okresie dwu powojennych dziesięcioleci z najwybitniejszymi polskimi zespołami i solistami. Występowały tam m. in. zespoły krakowskiego teatru im. Słowackiego, warszawskiego i poznańskiego Teatru Polskiego oraz Oper: Warszawskiej i Śląskiej. W miastach Czech, Moraw i Słowacji, koncertował Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk", a także orkiestry symfoniczne Filharmonii Narodowej, Śląskiej i Łódzkiej oraz Polskiego Radia. Na zaproszenie naszych południowych sąsiadów występowali u nich — nierzadko po kilka razy — najwybitniejsi polscy soliści i dyrygenci.

Równocześnie w rewanżu Polskę odwiedziła Wielka Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Praskiej, orkiestry symfoniczne Radia Czechosłowackiego, Filharmonii Brneńskiej i Bratysławskiej, Kwartet Smyczkowy im. B. Smetany, kilka znanych orkiestr rozrywkowych oraz szereg zespołów teatralnych. Na scenach polskich odbyły się 34 premiery sztuk autorów czechosłowackich. Do tradycji należy też branie udziału przez przedstawicieli obu krajów w festiwalach i konkursach muzycznych np. w „Praskiej Wiośnie", „Warszawskiej Jesieni", dorocznym Festiwalu Chopinowskim w Mariańskich Łaźniach itp.

Stare tradycje ma współpraca polskich i czechosłowackich filmowców. W pierwszych latach powojennych Czechosłowacy pomagali słabemu technicznie Filmowi Polskiemu. W praskim studio, na Barrandovie, nakręcono znany polski film „Ulica Graniczna". Czechosłowacki operator J. Tusar przyczynił się do sukcesu filmu Aleksandra Forda „Młodość Chopina". W

(Ciąg dalszy na str. 3)

---

ADAM JANUSZ BIEŃ

# Jednego dnia...

„...Jednego dnia, gdy siedział przy boku młodego księcia, serce jego wezbrało taką boleścią, iż wzdychał ani sam wiedząc o tym. Aby uśmierzyć jego mękę, książę nakazał przynieść do poufnej komnaty swą ulubioną zabawę, która jakowymiś czarami, w godzinach smutku, zachwycała jego oczy i serce. Na stole, przykrytym bogatą i szlachetną purpurą, umieszczono pieska Milusia. Był to pies zaczarowany... Nosił na szyi dzwoneczek zawieszony na złotym łańcuszku, o dźwięku tak wesołym, tak jasnym, tak lubym, iż słysząc go serce Tristana rozczuliło się, ukoiło i żałość jego stopniała..." — ziewnąłem, zaszeleścił papier, książka zamknęła się sama, upadła na pościel, bo sen miałem jeszcze w sobie, przebudziłem się niedawno, dzień dopiero wstawał, świt, nie chciało mi się tak wcześnie zrywać, więc czytałem... a gdy ponownie otworzyłem oczy, słońce było już dosyć wysoko, Matka kręciła się po kuchni, słyszałem brzęk naczynia, później weszła do mego pokoju, skrzypnęły drzwi: Nie chciałam cię budzić, przepraszam...

— Już nie śpię.

— Wstajesz?

— Tak.

— Czy będziesz wychodził?

— Po papierosy.

— Nie zapomnij o chlebie!

— Dobrze.

Wkrótce szedłem ulicą i kłaniałem się uprzejmie znajomym; niektórzy znajomi szepczą sobie na ucho: On już się kończy, gruźlik, proszę pani, studia przerwał, ostatnio przestał pracować, te płuca... Szkoda, że nie wymyślili syfilisa; byłoby jeszcze ciekawiej i bardziej wstydliwie; widocznie jednak cierpią na brak wyobraźni oraz rozmiękczenie mózgu.

Kłaniam się uprzejmie znajomym; znajomi sądzą, że wyrzucono mnie z pracy; oni myśleli, iż ja za te dwa tysiące miesięcznie będę znosił wszystkie humorki szefowej, rządzącej w swoim malutkim przedsiębiorstwie jak caryca Katarzyna albo jak pewne jednostki w epoce dla mnie już prehistorycznej, bo przed rokiem tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym. Złożyłem trzy wypowiedzenia, chyba wystarczy, prawda?...

Obok kiosku zatrzymałem się na chwilę. Wziąłem papierosy i kupiłem gazetę; zwinąłem ją, wsadziłem do kieszeni płaszcza, przeszedłem przez plac Konstytucji i wstąpiłem do sklepu. Tutaj jakaś niewyspana kobieta narzekała na ustrój polityczny. Śledzi nie ma — mówiła — a przed wojną były, teraz ten rząd, partia i komunizm... Zastanawiałem się, co może łączyć partię ze śledziem? I czy naprawdę winien jest temu komunizm, że do sklepu nie przywieziono ryb? Dlaczego winę zrzuca się zaraz na rząd, skoro zawinił jakiś człowiek z centrali rybnej nie umiejący zapewnić sprawnej dostawy towaru. Chciałem się odezwać, lecz nie było już do kogo, baba wyszła trzaskając drzwiami, sprzedawczyni zapytała: Co dla pana?

— Chleb.

Później znalazłem się nad rzeką. Usiadłem na ławce koło Sanu i patrzyłem w wodę. W pewnej chwili przypomniałem sobie o gazecie, wyciągnąłem ją z kieszeni i od razu rzucił mi się w oczy tłusty druk, wielkie litery: „Wzbudził podziw na całym świecie... Fantastyczny wyczyn... Ppłk Aleksiej Leonow opuszcza statek Woschod-2...". Zgasł papieros, nie zapaliłem go już, pochyliłem się nad gazetą, czytałem i nawet nie zauważyłem, kiedy usiadł koło mnie ten Siwy: Ciekawe... — zagadał po pewnym czasie. — Bardzo interesujące, co pan sądzi?

— To samo — rzekłem.

— Panie, ja tam byłem jeszcze przed rewolucją, za cara, nędza, panie, ubóstwo, a teraz, patrz pan, pierwsi... Ja myślałem, że Amerykanie to zrobią. Kto by się spodziewał! — Długo szukał okularów, wreszcie je znalazł, rozłożył gazetę, szeleszczącą na wietrze, i czytał szeptem: „W danym wypadku praktycznie nie istnieje opór środowiska, kosmonaucie nie grozi również upadek na Ziemię, a jednocześnie kosmonauta zbliża się lub oddala od środka naszej planety z tą samą prędkością, co statek". Słyszy pan, co mówi Ary Szternfeld?

— Słyszę.

— I co? Co pan na to?

— A czy zna pan Biblię? — zapytałem. — Ewangelie, Dzieje Apostolskie, Listy do Koryntian?

Siwy poderwał się z ławki: Panie, tylko bez kpin! Ja nie pozwolę! Co ma piernik do wiatraka? Ja mam siedemdziesiąt lat...

— Chwileczkę — powiedziałem — czego pan się denerwuje, nie wolno, w naszym wieku musimy mieć stalowe nerwy; czy wie pan, co by się stało, gdyby człowiek w kosmosie stracił panowanie nad sobą? Więc proszę usiąść i proszę posłuchać: gdzieś w tych Ewangeliach, Dziejach, Listach — nie pamiętam dokładnie gdzie — ukryty jest werset „Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało", być może brzmi to odwrotnie, nieważne, pytam jedynie, czy zna pan te słowa?

Kiwnął głową.

— Wydaje mi się — rzekłem — że coraz mniej jest na świecie tych rzeczy, których nikt nie widział lub o których nikt nie słyszał. Do widzenia! — Podniosłem się z ławki i zanim tamten zdążył otworzyć usta, byłem już daleko, szedłem wzdłuż rzeki, bo chciałem być sam, nie nęciła mnie rozmowa, on na pewno dużo by gadał, nie wiem dlaczego starzy ludzie tak wiele mówią, czyżby obawiali się, że nie wypowiedzą wszystkiego, bo ich czas trwania jest już ograniczony... Gazeta szeleściła w kieszeni i wciąż myślałem o tym, co przeczytałem; powtarzałem sobie: Bielajew i Leonow; Leonow, Bielajew — te nazwiska zostaną przecież w pamięci. Mimo woli spojrzałem w niebo. To działo się właśnie tam. Człowiek był już wszędzie: w legendarnym raju, na dnie oceanu, w prawdziwej próżni. Nie mogłem sobie wyobrazić, jak to wygląda. Ziemia nie przyciąga czło-

# REGIONALISTA RÓWNIEŻ RZESZOWSKI

## ALEKSANDER ŻYGA

Z dwoma podgórskimi regionami związany był żywot i twórczość Szczęsnego Morawskiego: z Rzeszowem, w którym przyszedł na świat w roku 1818, i Ziemią Sądecką, gdzie dokonał pracowitego żywota w roku 1898. Rzeszowowi i Sądecczyźnie poświęcił też swe najważniejsze dzieła: powieść „Pobitną pod Rzeszowem" (1864) i „Sądecczyznę (1883—1865)".

Urodził się Szczęsny Morawski w rodzinie rzemieślniczej. Ojciec jego był cechmistrzem rzeźniczym. W rodzinnym Rzeszowie, w gimnazjum tutejszym spędził swoje dzieciństwo i lata młodzieńcze. Upływały mu one nad brzegami Wisłoka wśród archeologicznych i historycznych zabytków tego miasta. „W Wisłoku pod Rzeszowem przez wiele lat podziwiałem dęba półtorasążniowego w miąższ, który sterczał przymulony brzegiem wyniosłym na kilkanaście sążni, a mnóstwo innych tkwiło w brzegach, kilkosążniowych. Tuż obok znalazłem róg potężny turzy i pomagałem dźwigać kły słonie, czy mamutowe" — pisał później w roku 1886 w „Puszczach i kniejach podgórskich w wiekach średnich". Chłopięcą wyobraźnię przyszłego dziejopisa i reportera Podgórza pobudzała żywa jeszcze w nadwisłocznym mieście bohaterska tradycja konfederacji barskiej, jedynego chyba w dziejach Rzeszowa większego zrywu patriotycznego. Żyli tu jeszcze ostatni mohikanie ruchu konfederackiego, którzy przechowywali drogą im tradycję walk rzeszowskiego mieszczaństwa z wojskami rosyjskimi. Opowiadał o niej Morawskiemu, m. in. — jak wspomina w „Pobitnej pod Rzeszowem" — służący w domu jego rodziców, Jędrek Ludera: „Nieraz i dziesięć opowiadał mi o swym dziadku, młynarzu na strudze, o księżnej chorążynie, Murzynie (...) Mówiąc o 50 batogach niewinnie odebranych i konfederatach zagubionych przez zemstę, zawsze płakał i ja płakałem, on za swym dziadkiem, a ja za konfederatami. A babka moja, naoczny świadek tych wypadków, aby mnie utulić, brała na kolana, potrząsała gdyby na koniu i śpiewała:

**Jedzie Drewicz jedzie,**
**Trzysta koni wiedzie,**
**Za nim, za nim pan Pułaski**
**W tysiąc koni jedzie".**

Owe wspomnienia młodzieńcze i tradycje wraz z wydanymi w roku 1851 „Materiałami do dziejów konfederacji barskiej" posłużyły pisarzowi jako materiał do powieści „Pobitnej", drukowanej w roku 1850 w „Tygodniku Lwowskim".

Zanim jednak Szczęsny Morawski wydał ją własnym nakładem w Krakowie w roku 1864, zawitał jeszcze po swych studiach malarskich we Lwowie i w Wiedniu do rodzinnego Rzeszowa. Przybył tu w roku 1852 z Węgier przez Duklę, gdzie zaznajomił się ze zbiorami Stadnickiego. Jak niegdyś uwagę jego przyciągały miejsca historycznych wydarzeń walk konfederackich w Rzeszowie, teraz notował skrzętnie w pamięci zachowane tradycje i jął odgrzebywać zachowane o niej dokumenty oraz malować wygląd miasta. W ten sposób powstało kilka widoków Rzeszowa z historyczną dla miasta Pobitną „szkicowaną z natury wraz z kopcem przez lud tutejszy szwedzkim nazwanym" na czele, które wymieniał w liście z Rzeszowa do Jana Gwalberta Pawlikowskiego.

„Pobitna pod Rzeszowem, powieść prawdziwa z czasów konfederacji barskiej z roku 1769", pozostaje głównym dziełem, w którym Morawski złożył hołd rodzinnemu Rzeszowowi. Tematem jej uczynił autor moment najbardziej bohaterski w dziejach miasta: obronę Rzeszowa przez konfederatów przed Moskalami, zakończoną wskutek zdrady Murzyna klęską na polach Pobitnej. Tak przez sam wybór epoki jak i sposobu wykorzystania w powieści dwojakiego rodzaju źródeł: autentycznych materiałów historycznych, jak i przekazów tradycji miejscowej „Pobitna pod Rzeszowem" może być dla tego miasta uważana jako miniaturowy odpowiednik sanockich powieści Zygmunta Kaczkowskiego, opartych m. in. również na materiałach zebranych przez Szczęsnego Morawskiego. Obie warstwy powieści: fikcyjna, w której zużytkował zebrane tradycje ustne, oraz autentyczna, której źródłem były prawdziwe dokumenty historyczne, nadają jej charakter niemal dokumentarny. Nie zostały jednak w jego książce ze sobą zharmonizowane. „Pobitna pod Rzeszowem" pozostaje zlepkiem nie zawsze łączących się ściśle rozdziałów stanowiących już to biografie niektórych postaci konfederackich, czy obrazków etnograficzno-obyczajowych Rzeszowa. Łączy je trącąca niekiedy sensacją intryga powieściowa. Dzieje rzeszowskich bohaterów zostały tu uzależnione od wydarzeń konfederacji barskiej, których główną areną było podówczas Podgórze. Na kartach „Pobitnej" spotykamy się z działającymi tu głównymi aktorami ruchu konfederackiego, wędrujemy z nimi po miejscowościach i miasteczkach, w których rozgrywały się główne akty konfederacji barskiej (Biecz, Pilzno, Jaćmierz itd.). Zasadniczym miejscem akcji powieściowej jest jednak Rzeszów, odzwierciedlony wiernie i dokładnie pod względem topograficznym z jego przedmieściami, Pobitną, „Opatówką" itd. Nieźle odmalował tu Morawski obraz społeczeństwa rzeszowskiego. Poszczególne jego warstwy sądzi autor wedle ich ustosunkowania się do ruchu konfederackiego. Nie brakuje tu przedstawicieli kosmopolitycznej arystokracji (księżna chorążyna Lubomirska), kolegium pijarskiego, konwentu reformackiego, Żydów i buńczucznych „budziwojców". Największą sympatią otoczył pisarz środowisko rzemieślnicze, które uczynił głównym nosicielem patriotyzmu. Dokonywał tym samym niejako narodowej nobilitacji rzeszowskiego mieszczaństwa w ruchu konfederackim, który w zasadzie miał charakter arystokratyczno-religijny. Wedle etymologicznego wywodu Morawskiego, podążającego za głosem tradycji ludowej, klęska konfederatów pod Rzeszowem miała przyczynić się do zmiany „Powitna" na „Pobitną". W ukazaniu przyczyny klęski konfederatów, jaką była zdrada Murzyna, motywowana sponiewieraną jego godnością ludzką, jako też nierówności społecznej i ucisku biednego ludu oraz mieszczan ujawnia się tu Morawski jako prawdziwy humanitarysta i zwolennik tolerancji religijnej.

Rzeszów między innymi oraz Gorlice stały się jeszcze tematem dwu reportaży z cyklu „Obrazki miast i miasteczek niektórych" drukowanych w roku 1866 w lwowskim „Dzienniku Literackim", pisanych już przez autora podczas pobytu w Starym Sączu. W poświęconym tu rodzinnemu miastu gawędo-reportażu dał skrótowy obraz przemian społeczności rzeszowskiej aż do czasów najnowszych, omówił sprawę słynnego handlu „rzeszowskim złotem", stwierdził zanik uczuć patriotycznych w mieszczaństwie rzeszowskim.

W Rzeszowie nakładem zasłużonego dla miasta J. A. Pelara ukazał się w roku 1871 zbiorek opowiadań Morawskiego: „Światek boży i życie na nim", w którym obok opowiadania „Rada wiejska nad Wisłoką", gdzie namalował z humorem reakcję wsi galicyjskiej na uzyskaną przez nią autonomię, znalazł się także reportaż pt. „Ignacy Łukasiewicz i ropa galicyjska".

W pismach rzeszowskich: „Przeglądzie Rzeszowskim" i „Kurierze Rzeszowskim" drukował Szczęsny Morawski w latach 1884—1889 niektóre swoje rozprawy naukowe.

(Ciąg dalszy ze str. 2)

pierwszym dwudziestoleciu powojennej współpracy naszych kinematografii na ekranach kin CSRS wyświetlono łącznie ponad 120 polskich filmów długometrażowych i blisko 170 w krótkim metrażu, w Polsce zaś ponad 200 pełnometrażowych i przeszło 30 krótkometrażowych filmów czechosłowackich. Czechosłowacja zakupuje największą ilość filmów polskich spośród odbiorców w krajach demokracji ludowej i vice versa, największym odbiorcą filmów CSRS jest wśród krajów demokracji ludowej Polska.

Mieszkańcy obu krajów zapoznają się również z licznymi wystawami: malarstwa, rzeźby, grafiki, sztuki ludowej, fotografii, architektury itp. W latach 1945-64 urządzono w Czechosłowacji sto trzydzieści wystaw „polskich", niemal tyle samo razy prezentowali swój dorobek nasi południowi pobratymcy w Polsce.

Stosunki kulturalne między Polską i Czechosłowacją opierają się na umowie kulturalnej zawartej w 1947 roku, na podstawie której opracowuje się dwuletnie plany wymiany naukowej i artystycznej.

## Postawy i obyczaje

# Cierpiętnicy

Gazety z życzliwym uśmieszkiem zawiadomiły Czytelników, że w pewnym powiatowym szpitalu lekarzy przebrano w kitle uszyte dokładnie na wzór tego, który nosi współczesny bóg chorych, dr Kildare, z telewizyjnego filmu seryjnego. Dzięki temu przebraniu, zainicjowanemu przez mądrego dyrektora szpitala, osoba lekarza, w podświadomości pacjentów, przestaje się kojarzyć ze złymi nowinami, bolesnymi zabiegami, ze szprycą, skalpelem i lewatywą. Kostium sprawi, że widok lekarza odruchowo kojarzyć się będzie z miłymi emocjami przeżytymi przed szklanym ekranem, z wdziękiem, dobrocią, starannością i kompetencją.

Dyrektor szpitala nie zrobił nic innego niż dziewczyna, która czesze się á la B. B., tyle że on miał na uwadze pożytek publiczny, a ona tylko prywatny.

Ongiś gwiazda była wielka, kiedy ubierała się, mówiła, kochała i ruszała tak, jak tego nikt inny nie potrafi. Dziś przeciwnie: gwiazda tym jest doskonalsza, im lepiej przebiera się za zwykłego człowieka, udaje kogoś „z życia", lansuje zwykłość. Ale oto z kolei zwykli ludzie podpatrują gwiazdy i naśladują je (niekoniecznie świadomie) w mowie, stroju, sposobach zachowania się, czasem nawet myślenia i postępowania. W ten sposób zwykli ludzie naśladują zwykłych ludzi i z pozoru pośrednictwo gwiazdy pozbawione jest sensu. To jednak nieprawda. Dzięki istnieniu gwiazd, niekoniecznie aktorskich, ludzie otrzymują swoją wersję zwykłości, poprawioną przez fachowców, dobrze skorygowaną, publicznie sprawdzoną i zaakceptowaną, a także zwyczajność owa ulega swoistej nobilitacji.

Oczywiście mechanizm ów skutecznie i pożytecznie działa, kiedy modele ludzi wchodzą na ekran, po czym schodzą z ekranu, by spacerować po ulicach i robić poranne obchody w powiatowych szpitalach. I kiedy ich wchodzenie w rolę nie ogranicza się do włożenia kostiumów.

Moje kontakty z ludźmi, w czasie, kiedy wykonują oni swój zawód, sprawiają, iż odnoszę wrażenie, że jesteśmy społeczeństwem męczenników pracy. Jeśli domagamy się wykonania czegoś wymagającego jakiegoś zawodowego wysiłku od: kelnera, ekspedientki, urzędnika, listonosza, rzemieślnika, konduktora, fryzjera, taksówkarza, inkasenta itd., jego reakcja jest z zasady obronna, przy czym orężem kontrofensywy jest prawie zawsze wskazanie na nadzwyczajne trudy i dolegliwości pracy, którą właśnie wykonuje. Kelner więc odpowie, że jest od rana na nogach, zgłaszając pretensje, że gość tego nie zauważa i miast współczuć mu, że od rana nie leży na kanapie, jeszcze wzmaga jego cierpienia. Wysiłek, który najchętniej podejmie urzędnik, będzie to wyciągnięcie papierów z wszystkich szuflad biurka i pokazane ich petentowi, czemu towarzyszy wyjaśnienie, ileż to podań napływa i jak długo już czekają one na załatwienie, mimo że kryją sprawy pilniejsze i bardziej dramatyczne niż właśnie przedstawiana. Nie chodzi mi tu jednak o to, co wielokrotnie było opisywane, mianowicie, że ludzie pracując nie ogarniają dostatecznie społecznego sensu i celu swych zabiegów zawodowych. Chodzi o samo przeświadczenie o cierpiętnictwie i niezwykłej, wyjątkowej dolegliwości wykonywanego zawodu. O przekonanie, że wysiłek i zmęczenie nie jest naturalnym wynikiem faktu, iż się pracuje, a nie leżakuje, lecz krzywdą, niesprawiedliwością losu i obrzydłym uprzykrzeniem.

Odmianą tej postawy jest wygłaszanie przez wszystkie osoby pracujące na własny rachunek i ponoszące jakieś ryzyko finansowe twierdzenia, że dokładają do interesu. W związku z tym wiozący nas taksówkarz albo szewc przybijający blaszkę do buta nie są osobami, które z nas żyją, ale mienią się być świętymi Mikołajami, filantropami, rozgoryczonymi tym, że za ich poświęcenie wymaga się jeszcze od nich, żeby jechali szybciej czy mocniej bili młotkiem, zamiast całować po rękach i sutym napiwkiem zmniejszać ponoszone straty.

Kontakty pomiędzy ludźmi pracy tak się więc układają, że zawsze ktoś jest „przemęczoną ofiarą", a ktoś drugi, kto już ukończył, czy jeszcze nie rozpoczął swojej dziennej pracy, „leniuchującym prześladowcą". Dzięki temu nie powstaje wspólnota męczenników, ale dokonuje się wymiana ról pomiędzy katami i ofiarami.

Osobliwością tu jest samo przeświadczenie, że człowiek pracując powinien w zasadzie wypoczywać. Kłóci się ono z doświadczeniem wskazującym, że ludzie w trakcie wykonywania pracy na ogół bywają zmęczeni, często bardzo zmęczeni. Mimo jednak powszechności zmęczenia wydaje się ono czymś niezwykłym, między innymi dlatego, że wyobrażenia o zwyczajnym, pracującym człowieku nie kojarzą się z człowiekiem zmęczonym, ponieważ gwiazdy ekranów i scen czy bohaterowie powieści i okładek magazynów nie bywają zmęczeni. Zmęczenie nie mieści się w modelu zwykłości. A jeśli nawet jakaś gwiazda bywa uroczo zmęczona — to prawie nigdy pracą.

Gdyby Polska potrafiła wyprodukować swojego Kildare'a, nie byłoby rzeczą ważną, żeby był on odważny, dobry, szlachetny, czuły. Najważniejsze byłoby, żeby był on uroczo zmęczony po kilkunastogodzinnym krojeniu ludzkich bebechów. I żeby właśnie ze zmęczeniem było mu najbardziej do twarzy. Jest to nawet koncepcja realistyczna, ponieważ znawcy utrzymują, że robienie operacji chirurgicznej nie mniej męczy niż sprzedawanie w sklepie cytryn, a to zdarza się chirurgom o wiele częściej niż cytryny ekspedientkom.

ABA

---

wieka, człowiek jest sam, wisi — nawet nie wisi, bo nie ma na czym zawisnąć; płynie — nawet nie płynie, bo musiałby poruszać rękami; więc istnieje, tkwi... Tam nie można popełnić samobójstwa skacząc z wieży Eiffla, tam nie można wypaść z okna drapacza chmur, tam nie trzeba zazdrościć ptakom, że umieją latać, tam skrzydła Ikara śmieszyłyby tylko, bo potrzebny jest hermetyczny skafander i tlen.

Zastanawiałem się, czy on poznał uczucie lęku, normalny ludzki strach. Chciałbym widzieć jego twarz, gdy wychodził... Pragnąłem przejrzeć jego myśli: czy bardzo odczuwał swoją samotność; czy tęsknił za Ziemią, podobnie jak Tristan za Izoldą; czy chciałby mieć koło siebie zaczarowanego psa z cudownym dzwoneczkiem, który koi wszelkie cierpienia przynosząc zapomnienie. A może wystarczyła ci tylko, człowieku, radiostacja i radiogram...

Wiele myśli kłębiło się tego dnia w mojej głowie; wtedy, gdy spacerowałem nad rzeką i potem już, kiedy przyniosłem Mace chleb i pochyliłem się nad książką, którą zacząłem czytać wczoraj, zanim przyszła ona.

Czekałem. Siedziałem tuż przy oknie obserwując ulicę. A kiedy weszła swoim lekkim, dziewczęcym krokiem — uśmiechnąłem się, zamknąłem drzwi na klucz, pocałowałem, przyciągnąłem do siebie mocno i...

— Nie — powiedziała — dzisiaj nie, źle się czuję.

— Więc co robimy?

— Chodźmy do kina!

Film był o miłości. Bohaterowie połowę swego pracowitego życia spędzali w nocnych lokalach, drugą zaś połowę w łóżku. Nie lubię bajek. Wolę Balzaca. Przestałem patrzeć na ekran. Spoglądam na ludzi. Dojrzewające dziewczęta bardzo się podniecały, pryszczaci chłopcy ściskali je za kolana — oboje naprawdę przeżywali filmową miłość. Ułożyłem się wygodniej w kinowym foteliku, bo spać mi się chciało. Dzień był trochę męczący: właśnie dzisiaj po raz pierwszy wybrałem się na wiosenną przejażdżkę. Ściągnąłem ze strychu rower, wyczyściłem, napompowałem dętki. To wszystko zabrało mi sporo czasu, ale w końcu mogłem jechać. Zastanawiałem się: dokąd? Wreszcie podjąłem decyzję: przecież przez całe pół roku nie widziałem renesansowego zamku! Wskoczyłem na siodełko i pomknąłem krasiczyńskim asfaltem w tempie dosyć ostrym. Pod którąś górką stanąłem, wytarłem pot i pomyślałem, że zima ze mnie wyłazi, brak formy, urzędniczy tryb życia, starszy referent pierdzimączka i biuralistyczny ruch — wkrótce jednak na pewno się polepszy! Siedziałem na przydrożnym kamieniu obserwując szosę, po której szła, sunąc wolno krok za krokiem — stara chłopka.

— Pani gospodyni — spytałem — czy są jeszcze jajeczka?

— Nie ma. Dzień był dzisiaj dobry, wszystko sprzedałam.

Jeść mi się chciało. Wypiłbym ze dwa jajka z odrobiną soli. Stara chłopka żuła chleb. Miała również kawałek białego sera. Przełknąłem ślinę...

— A wyście głodni?

— Nie — powiedziałem — trochę.

— Proszę — rzekła i podała mi chleb i ser. — Dla każdego wystarczy.

Zjadłem.

— Ile płacę? — zapytałem.

Zaśmiała się: A niech będzie na zdrowie! Dobry dzień dzisiaj miałam, wszystko sprzedane.

Jeszcze są u nas porządni ludzie — pomyślałem — nie biorą piątki za ćwierć szklanki mleka jak na szczycie Gubałówki. Popatrzyłem na starą chłopkę. Jej twarz była zmęczona: dużo zmarszczek, dużo szarości. Spostrzegła mój ciekawy wzrok. Na nogi choruję — rzekła — reumatyzm i żylaki.

I nagle piękna myśl strzeliła mi do głowy: Babciu — powiedziałem — siadajcie na ramę, podwiozę, jak Boga kocham co się będziecie męczyć!

Spojrzała ze strachem na mój rower: Paniczu, co panicz... ja nigdy w życiu nie jeździła na bicyklu, ludzie by się śmiali...

— Babciu — powiedziałem — inne czasy, niektórzy lecą na księżyc i nikt z nich się nie śmieje!

— Nie — rzekła — nie, nie, ja wolę już tak, na swoich nogach pójdę, ja całe życie tak...

Poszła. Cóż miałem robić? Wsiadłem na rower i popędziłem do renesansowego zamku. Przez stary park przeszedłem, a potem patrzyłem na wiekowe mury i przypomniałem sobie słowa starego profesora: „Jeśli będziecie kiedyś państwo w Krasiczynie — mówił do nas na wykładzie, gdy nudziłem się i grałem z Grubym w pokera, żeby nie zasnąć — to proszę łaskawie zwrócić uwagę na attykę, bardzo oryginalna...". Aż dziwne, że zapamiętałem! Teraz mogę posłuchać jego rady, podziwiam: miał gust mistrz Galeazzo Appiani — myślę w głębi ducha — całkiem nieźły był z niego mistrz! Następnie, skoro napatrzyłem się już do syta, wyprowadziłem z parku rower, pomknąłem szosą, wróciłem do domu, trochę czytałem książkę, rozmawiałem z Matką: Jakie masz plany na najbliższą przyszłość? — pytała. Naprzód, kiedy ociepli się na dobre i trawa zazielenieje, pojadę na połoniny, może Wetlina, może dalej, a potem... Zobaczysz! — powiedziałem, gdyż nie lubię zwierzać się nikomu z wyjątkiem samego siebie. Znów czytałem książkę, czekając na nią przy oknie, nareszcie przyszła, wybrałśmy się do kina i siedzę sobie w miękkim foteliku spoglądając na ekran, gdzie toczy się jakaś akcja, czyjeś wymyślone życie przemija, lecz dla mnie są to rzeczy bardzo abstrakcyjne, wolę od nich swoją własną rzeczywistość. KONIEC, przeczytałem, błysnęło światło, ludzie biegną do wyjścia, wychodzimy również i my, wtapiamy się w noc.

Gwiazdy świeciły. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że obok tych gwiazd są ludzie. Gazetę przeczytałem dopiero nazajutrz, radia nie słuchałem. Teraz szliśmy w milczeniu, przyuleni do siebie. I dopiero jej głos rozerwał ciszę jak dzwon.

— Słaby! — powiedziała.

— Co?

— Film.

— Tak rzekłem. — Dzieje Tristana i Izoldy są znacznie ekawsze. Jutro skończę...

Odprowadziłem ją pod dom. Dobranoc. Do zobaczenia!

— Cześć!

Wróciłem do siebie: kolacja, długie picie świeżo parzonej herbaty, później jeszcze trochę lektury, jeszcze trzy papierosy i sen, ale zanim usnąłem, podszedłem do ściany, zerwałem kartkę z kalendarza: minął przecież dzień, oddalił się ode mnie, wszedł wprost do historii.

# WIOSNA

*Wszystkie mamy przynajmniej cztery kłopoty rocznie: wiosnę, lato, jesień i zimę.*

*Lato: zorganizowanie urlopu i pieniędzy nań, ponadto muchy i mole.*

*Jesień: wyekwipowanie dzieci do szkoły, podręczniki, opał i ziemniaki na zimę, buty na deszcz, długi z lata.*

*Zima: palta, buty, swetry, długi z jesieni, zamarzanie rur, śniegi albo roztopy.*

*Wiosna: dwójki dzieci, kłopoty z latem, długi z zimy, remont, niskie ciśnienie w rurach i w sobie oraz inne sensacje zdrowotne.*

*Zgodnie z kalendarzem zatrzymamy się przy kłopotach wiosennych. Jest to czas szczególnych konfliktów w rodzinie. Rodzice są rozdrażnieni, bo osłabienie, ciśnienie, serce, dzieci niespokojne, szwendające się poza domem i narowiste.*

*W swoim życiu wiele już przeszłam: byłam dzieckiem, jestem matką, coś niecoś więc wiem. Na przykład to, że nikt jeszcze nie wymyślił, w jaki sposób wychowywać dzieci, ale za to ludzkość w wychowywaniu rodziców odniosła już znaczne sukcesy. Postanowiłam więc dać spokój dzieciom i zająć się najnieszczęśliwszą częścią matek: matkami dorastających córek.*

*Dawnymi bardzo czasy matki przestrzegały córki przed tak zwaną lekkomyślnością, rzeczowo argumentując, że ewentualna niesława uniemożliwi im zamążpójście, którego alternatywą jest miejsce pod latarnią. W owych czasach bowiem chłopcy źle kończyli u szewca, a dziewczęta w tak zwanym rynsztoku.*

*Od tego czasu bardzo wiele się zmieniło. Chłopcy nie kończą źle u szewca, ponieważ zajęcie to stało się wcale intratne i nie dyskryminujące towarzysko. Co do dziewcząt to sława zła czy dobra lepsza jest niż żadna, a dbałość o „opinię" utrudniona jest zamieraniem tej instytucji w dawnym tego słowa znaczeniu, przy czym cała ta sfera spraw nie ma nijakich bezpośrednich związków z szansami matrymonialnymi. W ogłoszeniach matrymonialnych czasem jeszcze poszukiwane bywają „panny bez przeszłości", ale w życiu jest jak w sklepie: czym większy po coś ogonek, tym znaczniejszy się robi na to popyt.*

*Z „rynsztokiem" i „latarnią" też się sprawy skomplikowały. Rynsztoki znikły. A w ogóle kobietą zawodowo lekkich obyczajów nie zostaje się już w Polsce z konieczności, ale z powołania i wyboru. Odwrotnie niż — żonami.*

*Taki układ stosunków jest koszmarem dla matek dorastających dziewcząt. Odbiera argumenty. Oczywiście bardzo to ubrutalnia stosunki rodzinne. Matka wskazująca córce czego ta robić nie powinna spotyka się z jej strony z pytaniem, „a dlaczego mamo?", i to kończy dyskusję. Pozostaje więc zdzielić pannicę mokrą ścierką, zamknąć w pokoju, nie dać kolacji, czy uczynić coś w tym rodzaju zawsze mało przekonywającego.*

*Gwoli sprawiedliwości wtrącić tu trzeba, że pedagogika mokrej ścierki, jeśli nawet nie daje pomyślnych rezultatów, to rzadko powoduje głębokie tragedie. Natomiast zdolność wytwarzania dramatów właściwa jest dosyć licznym jeszcze matkom, które w propagowaniu zasad moralnych i towarzyszących im uzasadnień właściwych dla epoki, w której same były wychowywane — są konsekwentne, wytrwałe i odnoszą sukcesy.*

*Otóż maszyneria dydaktycznego oddziaływania uruchamiana jest z zasady dopiero wtedy, kiedy istnieją bardzo realne powody do niepokoju. Nim się one nie pojawią, każda, najbardziej nawet posunięta w latach dziewczyna jest w oczach matki dzieckiem, które zajmuje się tylko rzeczami wzniosłymi, a o tzw. prozę życia ociera się najwyżej w kinie. Natomiast kiedy realne powody do niepokoju zaistnieją, wtedy matka tradycyjna czyni z faktów dokonanych coś monstrualnie ważnego, gigantycznie ohydnego i zupełnie nieodwracalnego. Takie zohydzenie bywa skuteczne. Podatna na podobne zabiegi pedagogiczne dziewczyna nabiera przeświadczenia, że jakiś zasadniczy wybór życiowej drogi ma już za sobą i wyciąga praktyczne konsekwencje z przeświadczenia, że jej los został już rzekomo negatywnie zdeterminowany: „taka już jestem". Na przykład wciąż pozostaje w modzie stosowanie wstrząsu, polegającego na relegowaniu parszywej owcy z domu i wtedy wręcz życiową koniecznością staje się szukanie domów bardziej liberalnych i gościnnych. A w każdym razie licznym matkom udaje się wcale znowu nie taki dramatyczny epizod przekształcić w głowie córki w najprawdziwszy dramat, przez co oczywiście staje się on dramatem. Dzieje się to w czasie, kiedy eksperci od młodzieży stwierdzają jej szczególną podatność na chłodną, życiową kalkulację opłacalności wszelkich czynów i zaniechań. Zdawałoby się, że taki stan rzeczy umożliwia większe sukcesy pedagogiczne, niż to się działo w czasach, kiedy modele życiowe powstawały z egzaltacji, a nie kombinacji myślowych i w oparciu o przeświadczenie moralne, że złem jest to co przyjemne, dobrem zaś to co nieprzyjemne.*

*Oczywiście dydaktyka oparta o kalkulację wtedy będzie owocna, jeśli matki zdołają uzasadnić opłacalność postępowania zgodnego z ich pojęciami moralnymi. To zaś wymaga odrzucenia odruchów zgorszenia powstałego z tego, że wypada się gorszyć, i ograniczenia potępienia do takich wypadków zła, które jako zło można wyrozumować i uzasadnić.*

*Sztuka ta jest trudna, bo wymaga niekłamanego myślenia, tym trudniejszego na wiosnę, że matki w tym czasie mają obniżone ciśnienie, cierpią na osłabienie i sercowe sensacje, podczas gdy ich córki przeciwnie, witalne są nad podziw.*

*ABA*

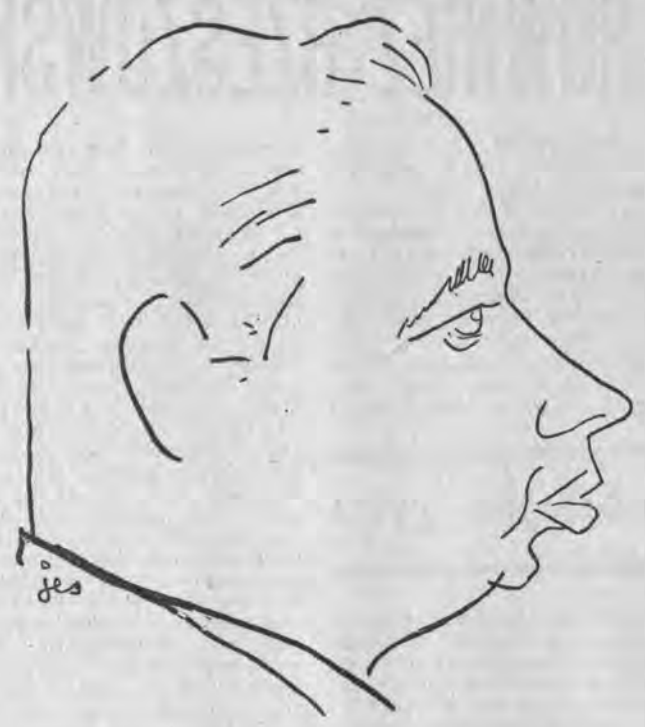

*Mgr JAN PELCZAR — działacz kulturalny z Gorlic.*
*Rys. J. SIENKIEWICZ*

# Monumentalne wydawnictwo z zakresu historii literatury polskiej

Po 20 latach oczekiwania otrzymujemy wreszcie wydawnictwo, które z radością powita każdy nauczyciel polonista, każdy student filologii polskiej i każdy miłośnik dziejów literatury ojczystej. Nie jest to wprawdzie jeszcze wyczekiwany uniwersytecki podręcznik historii literatury polskiej, lecz wspomniane wydawnictwo dość skutecznie może go na razie zastąpić. Myślę tu o „Obrazie literatury polskiej XIX i XX wieku".

Rzecz pomyślano odważnie i z rozmachem. Jest to w założeniu wydawnictwo składające się z kilku serii i kilkunastu tomów, które będą stopniowo ukazywać się w księgarniach przez okres kilku lat. Seria I (3-tomowa) obejmuje literaturę polską klasycyzmu i sentymentalizmu, seria II (2-tomowa) — polską literaturę romantyczną, seria III (4-tomowa) — literaturę w kraju od 1831—1864 r., seria IV (4-tomowa) — literaturę realizmu i naturalizmu, seria V (4 tomy) — literaturę Młodej Polski i seria VI (4 tomy) — literaturę lat 1914—1939. Łącznie 21 tomów.

Niedawno ukazał się tom 1 serii IV „Literatura polska w okresie realizmu i naturalizmu"*) Jest to nie tyle podręcznik, co słownik historii literatury — zawiera hasła osobowe, na które składa się charakterystyka twórczości pisarza, szczegółowy szkic biograficzny, bibliografia jego twórczości i wypisy z jego dzieł. Oprócz tego każda seria jest poprzedzona syntezą historyczno-literacką epoki czy kierunku, a każdy tom zamyka bogaty materiał ikonograficzny. W tomie I serii IV znajdują się sylwetki poetów tworzących bezpośrednio po powstaniu styczniowym; ich ilość (19) świadczy o tym, że uwzględniono również twórców drugo- i trzeciorzędnych. Mimo dokładności, gruntowności i bardzo szczegółowej informacji, „Obraz literatury polskiej" jest skierowany do szerokiego kręgu odbiorców, zwłaszcza nauczycieli. Będzie stanowić dla nich encyklopedię wiedzy o literaturze XIX i XX wieku. Szczególną wartość posiada dla polonistów obszerna bibliografia szczegółowa, opracowana dla każdego twórcy i ogólna, dotycząca każdego kierunku czy okresu literackiego.

Wydawnictwo ukazuje się pod patronatem Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk. Nazwiska członków redakcji naczelnej, Komitetu Redakcyjnego i Rady Redakcyjnej świadczą, że „Obraz literatury polskiej" jest owocem pracy całej współczesnej polonistyki. We wstępie Komitetu Redakcyjnego czytamy, iż... „wydawnictwo nawiązuje do takich publikacji, jak „Złota przędza poetów i prozaików polskich", która ukazała się w latach 1884—1887 pod redakcją Piotra Chmielowskiego i Stanisława Krzemińskiego oraz opracowany również przez Chmielowskiego „Obraz literatury polskiej" w streszczeniach i celniejszych wyjątkach (1898). Bezpośrednim poprzednikiem „Obrazu literatury polskiej" jest: „Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej (1906—1923) pod redakcją Bronisława Chlebowskiego i Ignacego Chrzanowskiego"...

Wydawnictwo ukazuje się w bardzo starannej szacie graficznej, w płóciennej oprawie, na dobrym papierze. Oby tylko nie trzeba było zbyt długo czekać na pojawienie się dalszych tomów i serii.

*) „Literatura polska w okresie realizmu i naturalizmu" tom I W-wa 1965 PWN (seria IV Obrazu literatury polskiej XIX i XX wieku).

J. G.

# zdarzenia tygodnia

12 maja w łańcuckim Zamku rozpoczęła się tradycyjna już impreza, organizowana przez Państwową Orkiestrę Symfoniczną w Rzeszowie — Dni Muzyki Kameralnej.

Imprezę zainaugurował zespół wokalno-instrumentalny gospodarzy oraz soliści Helena Świda-Szaciłowska (alt), Teresa Weselly i Stefania Zachariasz (soprany) oraz Janusz Żełobowski (tenor). 13 bm. wystąpił NRD-owski zespół Ulbrich Quartett, a 14 warszawski zespół kameralny „Con moto cantabile" — grupa smyczkowa bez dyrygenta, składająca się z absolwentów warszawskiej PWSM.

* * *

Staraniem Muzeum Ziemi Przemyskiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Przemyślu otwarto (budynek muzeum) wystawę pt. „Przemyśl oskarża". Wystawa została zorganizowana z okazji 20 rocznicy klęski Niemiec hitlerowskich i ukazuje działalność okupanta na terenie Przemyśla w latach 1939—1944.

Po otwarciu ekspozycji odbyła się sesja naukowa, na której omówiono politykę dyskryminacyjną okupanta (L. Włodek), działalność ruchu oporu (J. Różański) i problem gromadzenia dokumentów z okresu okupacji hitlerowskiej (mgr Antoni Kunysz).

* * *

10 bm. w Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie otwarto wystawę zbiorową prac plastyków-amatorów woj. rzeszowskiego.

30 amatorów wystawia 120 prac (akwarele, olej, tempery, szkice węglem, tuszem i 4 rzeźby w drzewie).

Otwarcie wystawy połączone było ze zjazdem amatorów-plastyków.

* * *

Na posiedzeniu Komitetu Organizacyjnego eliminacji wojewódzkich III Ogólnopolskiego Festiwalu Amatorskich Teatrów Poezji ustalono, że impreza odbędzie się w dniach 23—24 bm. w Rzeszowie.

W imprezie weźmie ostatecznie udział 6 teatrów poezji: z Technikum Łąkarskiego z Przemyśla, PDK z Sanoka, Liceum Ogólnokształcącego z Leżajska, Amatorski Teatr Poezji „Symbol" Studium Nauczycielskiego w Rzeszowie, „Poezja" z Klubu Fabrycznego ZM w Nowej Dębie i „Szkiełko" z Krośnieńskich Hut Szkła.

* * *

W ubiegłą sobotę odbyło się kolejne z cotygodniowych spotkań członków i sympatyków rzeszowskiego Klubu Literackiego, na którym Władysław Długosz czytał swoją prozę. Następnie odbyła się dyskusja.

* * *

Działający obecnie przy Domu Kultury ZPG „Dębica" harcerski zespół estradowy „SKRA" wystawił ostatnio premierę spektaklu pt. „Skąd się wzięli chuligani".

Na program składają się scenki rodzajowe, anegdoty i piosenki. Teksty Jerzego Maślanki, który również wyreżyserował spektakl. Oprawa muzyczna Kazimierza Salachny.

**KRONIKA DNI OŚWIATY, KSIĄŻKI I PRASY**

KOLBUSZOWA: Odbyły się uroczystości powiatowe Dnia Działaczą Kultury, podczas których odznaczono 59 osób. 45-osobowa grupa działaczy kulturalnych powiatu przebywała w Dąbrowie Tarnowskiej w celu nawiązania kontaktów. Zespół estradowy z Kolbuszowej wystąpił w Dąbrowie, Jadownikach i Żabnie. Otwarto 2 ośrodki kulturalno-oświatowe przy szkołach w Markowiznie i Ostrowach Baranowskich.

SANOK: W ramach I Ogólnopolskiego Festiwalu Ognisk Muzycznych odbył się wojewódzki zlot, zorganizowany przez Towarzystwo Muzyczne w Rzeszowie. Wzięło w nim udział 1000 uczestników, reprezentujących 18 ognisk.

W RAMACH konkursu „Wieś bliżej teatru" odbyły się spotkania aktorów Teatru im. W. Siemaszkowej ze społeczeństwem wsi i miasteczek: Krzywcza i Buszkowice w pow. Przemyśl, Łużna i Szalowa pow. Gorlice, Trzciana pow. Rzeszów i Dynów pow. Brzozów.

STALOWA WOLA: W Zakładowym Domu Kultury Huty „Stalowa Wola" odbyły się 2 spotkania z pisarkami — Marią Kann i Heleną Ożogowską, autorkami znanych powieści młodzieżowych.

LUBACZÓW: Odbył się zlot młodzieży, zorganizowany przez PiMBP, połączony z podsumowaniem turnieju czytelniczego pt. „Wędrujemy śladami 20-lecia". Otwarto 2 świetlice wiejskie w Niemstowie i Krowicy Chołodowskiej.

MIELEC: W MZBM 1 Dziubkowie otwarto punkty biblioteczne, a w Chorzelowie i Szpitalu Powiatowym kluby „Ruchu".

RZESZÓW: Odbył się przegląd zespołów akordeonowych szkół muzycznych I i II stopnia oraz państwowych i społecznych ognisk muzycznych. W Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej urządzono wystawę książek pod hasłem: „20 rocznica wyzwolenia Ziem Zachodnich i Północnych".

PRZEWORSK: Odbył się sejmik Koła Miłośników Przeworska.

ŁAŃCUT: W Powiatowej Bibliotece Publicznej odbył się zlot czytelników w związku z konkursem „Złoty Kłos dla twórcy — srebrny dla czytelników". Otwarto wystawę „Piękno ziemi łańcuckiej".

STARANIEM WiMBP w Rzeszowie, Jarosławiu, Przemyślu, Jaśle, Krośnie i Głogowie odbyły się spotkania autorskie z pisarzem dla młodzieży — Edwardem Niziurskim.

Szkoda tylko, że do tej pory nie zaproszono do naszego województwa więcej przedstawicieli polskiej literatury.

## Religijność we Włoszech

# Dwie trzecie obojętnych

Kiedy mówi się o procesach dechrystianizacji, zachodzących we współczesnym świecie, a zaawansowanych szczególnie w krajach Europy zachodniej, to w pierwszym rzędzie jako najbardziej typowy przykład wymienia się Francję, która nawet przez własną hierarchię kościelną traktowana jest jako „kraj misyjny". Tymczasem procesy laicyzacji i wzrost obojętności wobec religii w zakresie równie niepokojącym czynniki kościelne, charakterystyczny jest dla innych krajów, nie wyłączając nawet tych, które powszechnie określane są jako ściśle „katolickie".

Od pewnego czasu publicyści katoliccy, a nawet i niektóre kręgi hierarchii kościelnej nie ukrywają swego zaniepokojenia sytuacją, jaka panuje np. we Włoszech — kraju, gdzie od blisko dwudziestu lat władzę sprawuje przecież partia katolicka, a Kościół posiada szerokie możliwości oddziaływania. Podkreślają oni, że zmniejsza się udział wiernych w praktykach religijnych, że następuje wzrost obojętności mas wobec religii, a nawet masowe oddalanie się ludzi od Kościoła.

Świadczą o tym zresztą badania, przeprowadzone w ostatnich kilkunastu latach. I tak np. ankieta Włoskiego Instytutu Opinii Publicznej z 1953 r. wykazała, że tylko 34 proc. badanych określiło swój stosunek do religii jako „pozytywny", według zaś badań przeprowadzonych w jednej z najbardziej „gorliwych" diecezji praktykuje 17 proc. mężczyzn, w czym w wieku 20—40 lat zaledwie 9,2 proc. Panuje również opinia, że we Włoszech praktyki religijne wypełnia 9—14 proc. robotników; 6 proc. ludności, to ludzie nieochrzczeni, a olbrzymia ilość pogrzebów odbywa sie bez ceremonii religijnych. Wielu publicystów katolickich wskazuje również, że mimo olbrzymich możliwości oddziaływania Kościoła, w wielu południowych regionach kraju rozwijają się intensywnie różnego rodzaju sekty religijne. Obserwuje się równocześnie wyraźny upadek tzw. „powołań kapłańskich". I tak np., o ile w 1870 r. było we Włoszech 152 tys. księży, to w 1901 — 76 tys., w 1920 — 63 tys., w 1964 — 54 tys., obecnie zaś — ok. 50 tys. Tak więc w ciągu ok. stu lat liczba księży zmalała o dwie trzecie, podczas gdy w tym samym czasie liczba ludności wzrosła dwukrotnie.

O poglądach na temat procesów dechrystianizacji zachodzących we Włoszech świadczy m. in. seria artykułów, jakie niedawno pojawiły się na łamach włoskiego tygodnika „Epoca" — pióra G. Livi, która — nie ukrywając zaniepokojenia wobec stanu religijności we Włoszech — pisze m. in.: „Według oficjalnych statystyk katolicy stanowią 99 proc. ludności Włoch. Temu optymistycznemu obliczeniu zaprzecza jednak natychmiast pełne goryczy powiedzenie krążące w środowiskach kościelnych, które głosi, że „obojętni stanowią już przynajmniej dwie trzecie ludności".

Na potwierdzenie tezy o masowym oddalaniu się wiernych od Kościoła, autorka powołuje się na przeprowadzone badania, które wykazały, że tylko 25 proc. ludności Rzymu uczęszcza regularnie na mszę, w Mediolanie — 14—35 proc., w Genui i Turynie — ok. 15 proc. „Ale jest jeszcze gorzej" — pisze autorka powołując się na ankietę przeprowadzoną kilka lat temu przez o. Toldo w Bolonii, która „przyniosła wyniki jeszcze bardziej niepokojące niż przewidywano". Okazuje się, że tylko 1/4 część ludności tego miasta uczestniczy w niedzielnych mszach (a w tej liczbie aż 62 proc. kobiet), że tylko 16 proc. ojców rodzin uczęszcza na mszę, że wśród dziewcząt, które uchodziły za osoby ściśle przestrzegające przepisy religijne, aż 60 proc. nie chodzi na mszę, że frekwencja mężczyzn w wieku 26—35 lat spadła do 13 proc.

„Gdy do tych danych — pisze autorka — dodamy duży spadek, jeżeli chodzi o liczbę święceń nowych księży, która w ciągu dziesięciolecia 1948—1958 zmalała o 25 proc. oraz spadek liczby księży diecezjalnych o 1650 w porównaniu z r. 1955, będziemy musieli stwierdzić, że współczesna religijność zaczyna wykazywać poważne szczeliny i wchodzi w stan kryzysu".

Znamienne to dane w odniesieniu do kraju, który powszechnie uchodzi za kraj „katolicki" i jeden z bastionów katolicyzmu. Świadczą one niezbicie, że procesy dechrystianizacji i obojętności wobec religii nie są charakterystyczne tylko dla niektórych krajów, ale stanowią nieuchronny czynnik procesów rozwojowych współczesnego świata, ogarniający coraz szersze kręgi społeczeństw.

K. KRÓLIKOWSKI

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2056, 2057 — wewn. 198. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.